

Z NASZYCH KRAJOBRAZÓW.





ZYGMUNT GLOGER

4)

(Garstka wspomnień osobistych w pierwszą rocznicę zgonu).

Wycieczka ta, niestety, odbyła się bez mego udziału; wkrótce jednak powetował to sobie, fortunny bowiem los pozwolił mi ruszyć w arcymilem towarzystwie autora „Obchodów“ do prastarego Wilna.

A była to najpierwsza nasza wycieczka po tej ziemi przesławnej, która jest księgą czynów wielkich, niemniejszych cierpień i pamiętek...

Gloger oddawna już pragnął złożyć przynależny hołd ojcu archeologii litewskiej, zasłużonemu twórcy słynnego muzeum, Eustachemu hr. Tyszkiewiczowi, b. prezesowi „Komisji Archeologicznej“ w Wilnie. Skreśliwszy w tym celu pełen estymy list, wkrótce nań otrzymał uprzejmą z serdecznym zaproszeniem odpowiedź. A że młody badacz do listu dołączył swoje „Obchody Wesełne“, więc też i sędziwy hr. Eustachy nadesłał mu wszystkie swoje dzieła wraz z pliką rzadkich rycin, bo na Litwie „dar za dar“, inaczej zwyczaj nie pozwala.

Gloger do grodu Giedyminowego jechał po raz pierwszy, ja byłem już w nim i miałem tam kilka serc życzliwych, obowiązek tedy przewodnika spełniałem z istotną przyjemnością.

Do komfortu i wygod nie przywiązując żadnej wagi, zajechaliśmy do jednego ze skromniejszych w śródmieściu hoteli.

Nazajutrz zaczęliśmy, jak przystoi, dzień od złożenia kornego hołdu Tej „co w Ostrej świeci Bramie“. Po rannej mszy i posiłku dla zasięgnięcia języka ruszyliśmy do przyjaciela hr. Tyszkiewicza, którym był znajomy już mi dobrze p. Luyca Moraczewski, herbu Mora. „Pan rotmistrz“, a jak go zwykle hr. Eustachy tytułował, „kapitan“ Moraczewski, blisko spokrewniony z Zanami i Kraszewskimi, był rodzonym bratem ostatniego z marszałków obieralnych powiatu lidzkiego, sąsiadem moim późniejszym, dziedzicem Onichowszczyzny. Pana

rotmistrza nie tylko Wilno znało ale Litwa cała. Niebieskooki, szczupły, niski, o nodze drewnianej, (urwała mu ją kula armatnia na Węgrzech w bitwie pod Debreczynom), żywy i rozmowny staruszek doskonale pamiętał czasy przedrewolucyjne i był żywą kroniką ludzi i faktów na Litwie.

Przyjaciel Beyera i Podczaszyńskiego, bardzo mało miał sobie równie kompetentnych, a w dziale monetoznawstwa litewskiego był najwyższą powagą. Kolekcję monet polskich i medali posiadał znakomitą. W młodości swej nieustannie się ocierając o dawnych wiarusów, świetnie też znał się na rzeczach, dotyczących wojskowości polskiej i w nich był wyrocznią taką jak nieprzymierzając dzisiaj Gębarzewski. Hr. Eustachy, gorliwy w pomnażaniu zbiorów muzealnych, gwałtownie potrzebował umiętnej pomocy, zwracał się przeto często do Moraczewskiego, a tchnąc dlań wyjątkową sympatią, raz w raz w jego towarzystwie jeździł na poszukiwania i niejednokrotnie z nim rozkopywał kurhany. Numizmatyk, zaprawiwszy się przy takim jak Tyszkiewicz specjaliście, ani się spostrzegł, jak się sam przedzierzgnął w skórę archeologa, bo już to tak zwykle bywa, że nieznacznie się przetwarzamy w tych, z którymi przestajemy. Przykład bywa zaraźliwy. Poza to rotmistrz, lubo posiadał zasobną bibliotekę, obrazów sporo i niemało wszelakich pamiątek, w bibliografii nie był mocny i znanstwem w zakresie sztuki nigdy nie celował. Jako człowiek prawości był nieposzlakowanej, uczynny wielce, skromny i zrównoważony, a przez obcowanie z wybranymi umysłami pogłębiwszy myśl, w sądach nabrał takiej wytrawności, że jako doradca był niezastąpiony. Obok dobroduszności cechowała go szczerłość, nie pozwalająca na obwijanie rzeczy, jak to mówią, w bawełnę, to też niejednemu pieprzu natarł w nos, kto na to zasłużył. W gościnnym jego domu zawsze można było spotkać kogoś z tych, co na polu wiedzy, literatury i sztuki byli Litwy



istotną ozdobą.¹⁾ Moraczewskiemu zawdzięczając większość moich znajomości wileńskich, w jego domu miałem zaszczyt być przedstawiony ś. p. Tomaszowej ze Świętorzeczki Zanolowej, tu również zaznajomiłem się z poważnym Wand. Szukiewiczem, z zasłużonym Emerykiem Czapskim, Jocherem (Synem Adama), z art. malarzem Rusieckim i wielu a wielu innymi.

Ustęp powyższy należy się Moraczewskiemu ze wszelkiego prawa i słuszności, nie tylko jako przyjacielowi i egzekutorowi testamentu ojca archeologii litewskiej, ale przede wszystkim, jako najgorliwszemu z grona wszystkich jego współpracowników. On to bowiem najbezinteresowniej udzielał mu pomocy w opracowaniu monografii p. t. „Groby Tyszkiewiczów”, on celem pomnożenia jego zbiorów odbywał liczne misje oraz podróże, i mówiąc krótko, dla hrabiego Eustachego i dla wielu posiadaczy u nas prywatnych zbiorów był tem, czem dla Ossolińskiego Linde, z tem jednak zastrzeżeniem, że zawsze, wszędzie i ze wszystkiem etyką się posiłkował bez żadnego zarzutu.

Pan Zygmunt wspólnym przedmiotem ukochania z rotmistrzem połączony, gdy na archeologię wpadł, tak się z nim rozgadał i tyłu ciekawości nasłuchał, że i o hr. Eustachym zupełnie zapomniał. Wczas jednak posłyszawszy, że

hrabia, wskutek strasznych bólów atretycznych nie mogąc sypiać po nocach, zwykł się snem wzmacniać zaraz po obiedzie, Gloger przeprosiwszy sympatycznego gospodarza zerwał się i do Tyszkiewicza co żywo pojechał.

Życie czcigodnego Nestora archeologów litewskich szybko już wtedy zmierzało się do końca wędrówki. Hrabia sam już czuł kamień grobowy nad swoją głową, i często, bardzo często o śmierci wspominał. Cierpienia fizyczne i jeszcze bardziej moralne policzone dni życia gwałtownie skracały. Z wywiezieniem zbiorów muzealnych przez generała Stołypina pogrzebana została jego idea, rozwiały się nadzieje. Życie bez celu stało się torturą. Gasł tedy w oczach, aż nareszcie „twarda rola zmogła Pańskiego oracza”. Wrok potem, gdym znów przybył do grodu Giedymina, mąż zasługi, zaszczyt Litwy, oplakiwany przez wszystkich spoczywał na Rosie.

Gloger od Tyszkiewicza wrócił rozpromieniony, ujęty jego dobrocią i wielką uprzejmością, i właśnie się z wrażeń swoich przed nami spowiadał, gdy służąca wniosła pudło i dwie paczki tylko co od Tyszkiewicza przyniesione „dla pana Glogera”. Otwieramy, rozwijamy: „Album muzealne”, „Herbarz” Wilczyńskiego i zwitek rycin, a w pudle prześlicznie zachowane toporki kamienne, wspaniałe kliny, grotty i wykopaliska! Radości wybuch ponowny. Gloger uszczęśliwiony, jakby go kto posadził na sultańskiego dzianeta!



LUCYAN MORACZEWSKI
(ur. 8 lipca 1822, zmarł w 1909 r.)

¹⁾ Narażany przez swą ufność na tysiącne zawody staruszek pod koniec życia (zmarł w r. 1909, licząc wieku lat 87) popadł w rodzaj mizantropii. Dla hr. Eustachego do grobu zachował kult prawdziwy i na cześć jego ze skromnych swych środków wybił medal, o czem zapewno niewielu wie ludzi.

M. Federowski.





PUSZCZA MYSZYŃIECKA

4)

Z Siarczych Łąk przez okolicę dość piękną dochodzimy do pierwszych wzgórków wielkiej wsi parafialnej Kadzidla. Przedewszystkiem rzuca się tu w oczy ogromny murowany kościół, założony w r. 1781 przez starostę ostrołęckiego Jana Małachowskiego. Środek wsi nosi charakter osady; tutaj po raz pierwszy od dwóch dni widzimy kilka chłopek, ubranych z miejska; na ogół jednak przeważają jeszcze samodziąły. Notujemy ciekawe szparogi z zakończeniami w rzeźbionymi kształcie łebków końskich, i naprzód przez las i piaski, a później zadrzewioną drogą zdążamy do Dylewa. Pod tą wsią przygodnie spotkane furmanki zabierają nas ze sobą do Ostrołęki, i tylko



BRAMA KLASZTORU POBERNARDYŃSKIEGO W OSTROŁĘCE

fol. K. Ruski

w przejeździe widzimy piękne typowe zagrody, kilka okiennic malowanych w kwiaty, kamień bielony pod krzyżem, również w kwiaty farbą malowany, i bardzo piękne, nowe odrzwia, których dolna połowa zajęta jest rzeźbą w kształcie kilku V, wchodzących jedno w drugie, a górna promienistym krzyżem. Za Dylewem okolica staje się pospolita i mało zajmująca; oddają się też cały rozmowie z kadzidlańskimi chłopami, którzy ze mną jadą. Opowiadają mi oni, że „natwardziejsy kurpsie” mieszkają w parafii myszyńskiej i że kadzidlanie nazywają ich „Jonami”, raz dlatego, że tam najczęściej używają tego imienia, a powtóre, bo nie wymawiają go jak w parafii kadzidlańskiej: Jan, Janek, Jasiek, ale stale wszystkich, od chłopca do starca, nazywają Jonami. Poza tem opowiadają mi, że za granicą pruską jest jeszcze dużo polaków, że tuż przy granicy siedzą „straszne lutry, a dalej ewangeliki” i tysiące innych szczegółów.

Niedaleko Ostrołęki w wysokim borze sosnowym spotykamy szereg fur ładownych. To zalesianie wracają ze stacyi kolejowej z wapnem dla kościoła myszyńskiego. Nasz woźnica, człek stary, niestrudzenie wita każdego pochwalonym, a łamci niestrudzenie odpowiadają. Choć przy-

odzievek zalesian przeważnie był miejski, to jednak zauważyliśmy kilkunastu w białych kurpiowskich portkach i czerwonych kaftanach. Mińawszy nas, zaśpiewali pieśń, a ogromne echo szło od niej po lesie.

Już nisko było słońce, gdyśmy dojeżdżali do Ostrołęki. Tuż przed mostem nadnarwiańskim,

po prawej ręce, wznosi się czarny, posępny pomnik. Jedziemy przez pole bitwy ostrołęckiej. Tutaj owego pamiętnego dnia, 26 maja, stały wojska polskie pod Skrzyneckim. Ostrołęczanie opowiadają o nim, że, kiedy rosyjanie podchodzili z przeciwnej strony do Narwi, generał pozował jakimś włocho- wi do portretu i wierzyć nie chciał,

aby nieprzyjaciół tak prędko mógł przybyć pod Ostrołękę; dopiero pierwsze działa rosyjskie zmusiły go do objęcia komendy. Po krwawej, przegranej bitwie polacy cofnęli się do Warszawy, a dzisiaj na miejscu walki stoi pomnik, postawiony przez rząd poległym żołnierzom rosyjskim.

Ogólny widok z mostu na Ostrołękę nie przedstawia nic nadzwyczajnego, ale też nie jest tak nużące pospolite jak wielu naszych miast i miasteczek. Przechodzimy szybko miasto i udajemy się wprost do p. Śnieżki, miejscowego nauczyciela, gdzie też serdecznie i gościnnie przez niego i przez syna podejmowani spędzamy wieczór, noc i poranek. W środę zwiedzamy łódką brzegi Narwi, pokryte gajami i łąkami, a przed południem wracamy obejrzeć miasto; tu poznaliśmy przypadkowo p. Piotra Szymańskiego, zapalonego miłośnika wszelkich pamiątek historycznych i archeologicznych. Dzięki wprost nadzwyczajnej uprzejmości, jaką nam okazał, ujrzelśmy i usłyszeliśmy w ciągu jednej godziny więcej, niż kiedyindziej przez cały dzień.

Dzisiejsza Ostrołęka nie przedstawia ani dla historyka, ani dla etnografa zbyt wielkiej wartości; pamiątek historycznych nie ma prawie żadnych,



a kurpie w swoich malowniczych strojach bywają tu nader rzadko. Kościoły również nie są ani zbyt piękne, ani zbyt ciekawe: parafialny, wzniesiony w r. 1399 przez ks. Janusza mazowieckiego, został kilkakrotnie przebudowany i zupełnie zmieniony; w ściany jego wmurowano kule, jakie tu padły 31 roku; w południową — rosyjskie, w północną — polskie; o wieży opowiadają, że gdy wszedł na nią jeden z oficerów rosyjskich, aby rozejrzeć się w pozycjach wojsk polskich, kula nasza z za Narwi strąciła go wraz z wieżą na ziemię. Jeszcze mniej p a m i ą t e k zawiera obszerny klasztor pobernardynski z r. 1666. Zachowały się w nim zwłoki założyciela, sędziwego Tomasza Gocławskiego, które leżą w podziemiach w rozbitej trumnie, w prochu i wśród kości innych zmarłych; pozostał na nich tylko kontusz i barwne buty— resztę zrabowano. Dzięki p. Szymańskiemu obejrzelśmy w miejscowem probostwie dwa listy, pisane do bernardynów ostrołęckich; jeden z nich papieski, a drugi królewski, własnoręcznie podpisany przez Jana Kazimierza. Ten ostatni do niedawna zapatrzony był w pięknie zachowaną pieczęć, którą obecnie z niewiadomych przyczyn usunięto.

Po obejrzeniu kościołów ulicą Ostrowską idziemy ku stacyi; po drodze zwracamy uwagę na dom M. Rubinsteina, niegdyś najokazalszy budynek w Ostrołęce, nawiasem mówiąc, dość pospolitą murowankę, w której w r. 1806 stał Napoleon; jedynie podwórze tego domu odznacza się archaicznym wyglądem. Nieco opodal skręcamy w dość szczupły zaułek po lewej ręce i wkrótce stajemy na obszernym dziedzińcu. Tuż przy wrotach wjazdowych, w ziemi, znajduje się niewielki czworobok, jakby wybrukowany cegłą; jest to grób ks. Jabłonowskiego, adyutanta generała Kickiego, z którym razem padł w r. 1831. Uprzednio wznosił się nad nim grobowiec z kamiennem wyobrażeniem sowy dziś przechowywanej przez mieszczan ostrołęckich; obecnie, po upadku dawnego pomnika rząd, mimo starań rodziny zabitego zabronił wszelkich oznak, zabronił nawet zwykłego ogrodzenia, a na mogile stoją często fury żydowskie.

Po obejrzeniu miasta pp. Szymański i Witold Śnieżko, nie znając miary w swej gościnności, odwieźli nas na stacyę kolei, do której jest bitych

kilka wiorst. Jak zwykle pociąg się opóźnił i mieliśmy wiele czasu do gawędy. Dowiedziałem się, że w okolicy Ostrołęki jest wieś Nakły; opowiadają o niej, że imię wzięła od wodza tatarskiego, pogrzebanego tu przez hana wraz z niezliczonymi skarbami. Niezbyt dawno przyjeżdżali podobno

do Ostrołęki jacyś goście z Krakowa, którzy, mając w ręku piśmienne wskazówki, szukali owych skarbów w okolicy miasta (ale nie pod Nakłami); nic jednak nie znaleźli. Pan Szymański zwraca moją uwagę na liczne arystokratyczne i tatarskie nazwy rodowe kurpi, oraz na imiona wsi i miejscowości okolicznych, które są rzeczywiście bardzo ciekawe. W trakcie rozmowy okazuje się, że wielu z pośród inteligencji ostrołęckiej interesuje się krajoznawstwem (jest jeden członek Pol. Tow. Krajoznawczego), jeno nie mając skąd czerpać wskazówek naukowych, siedzą beczynnie; są tu nawet tacy, którzy z



FIGURKI DREWNIANE ze wsi Woli Wierzbowskiej, pow. ciechanowskiego. ze zbiorów P. Tow. Krajozn.

chęcią ofiarowaliby paromiesięczne mieszkanie i życie dla specjalisty archeologa, byleby zechciał pracować w Ostrołęce i okolicy.

Na takiej niezmiernie zajmującej rozmowie zesza nam godzina, jak jedna chwila; pociąg nadzedł i musieliśmy wbrew chęciom pożegnać ostrołęckich znajomych.¹⁾

Prawdziwie serdeczne przyjęcie, jakiegośmy doznali w Ostrołęce, nie zatarło jednak wspomnień z puszczy: owych gościnnych kurpi, pięknych strojów kobiecych, ozdobnych chałup, drzwi rzeźbionych i malowanych okiennic. Krajobraz puszczański zato uczynił na nas mniejsze wrażenie.

Całkowity obszar zielonej puszczy zajmują najmłodsze alluwialne utwory, sąsiadujące zewsząd z płdniejszemi glinami dyluwialnemi. Rozprze-strzenienie i granice geologiczne tych najmłodszych osadów odpowiadają prawie w zupełności rozprze-strzenieniu i granicom etnograficznemu kurpi, a zatem i granicom tak zwanej „puszczy”. Ziemi

¹⁾ P. Piotr Szymański polecił mi podać jego nazwisko wycieczkom, chcącym poznać Ostrołękę.



rodzajnej jest tu bardzo mało; znaczny obszar zajmują mniej lub więcej jałowe, sypkie piaski. Są one pokryte żytem albo sosną, a pod Ostrołęką, według „Słownika geograficznego”, na wschód od Drażewa, Nakiel i Grabowa występują w postaci lotnych wzgórz, pokrytych brzozą i karłowatym chojakiem, zajmujących prawie dwie mile kwadratowe przestrzeni. Lasy, przynajmniej na naszej drodze, były wyłącznie sosnowe i zupełnie pozbawione wszelkiego podszycia; tylko w okolicy wsi Surowego rosną w borach świerki i drzewa liściaste. Obok lasów i pól znaczny obszar puszczy zajmują bagna i błota, pokryte biedną roślinnością. Największe bagno, Karaska, znajduje się między wsiami: Olszyny, Kierzek i Piaseczna; ma ono z górą 9 kilometrów długości. Drugie wielkie bagno, Konopaczyska, leży obok wsi tejże nazwy, wzdłuż rzeki Orzyca. Na północ od nich, niedaleko Myszyńca, leży błoto „Chróściele”; jest to czarna, głęboka topiel, pokryta kożuchem ro-

ślinnym. Obok tych bagien znaczne błota są jeszcze w Przasnyskiem, a mianowicie owa Szeroka Biel i Gutocha, o których mówiłem już wyżej. Zresztą powierzchnia puszczy jest zupełnie równa i tylko gdzieniegdzie wznoszą się niewielkie wzgórza, podobne do długich wałów.

Szczególną właściwością omawianego obszaru jest bursztyń kopalny. Mieści się on najczęściej w pokładach zbutwiałych liści pod warstwami torfu; czasem występuje w gniazdach, dosięgając ogólnej wagi kilkudziesięciu funtów, w kawałkach, dochodzących funta. Bardzo wiele znajdują go zwłaszcza na ziemiach wsi Czarni i Brzozowego Kąta. Oddawna kurpie zajmowali się poszukiwaniem tej cennej kopaliny, ale rząd zabronił im tego w imię opieki nad lasami.

Taka jest tedy owa puszcza: z jednej strony bagna, nędzne lasy sosnowe i piaski, z drugiej ludne, zagajone i piękne wsie.

Kazimierz Ruski.



Prużana i jej okolice.



RYNEK W PRUŻANIE

fot. ze zbiorów Pol. Tow. Krajozn.

I.

Prużana albo Prużany, miasto powiatowe guberni grodzieńskiej, położone po obu brzegach rzeki Muchy (powstającej ze zlewu dwu strumieni, łączących się tuż pod samem miastem) w wieku XV jako niewielka osada należała do ks. Kobryńskich, w roku zaś 1532 przeszła w posiadanie królowej Bony, dzięki której zaczęła się nazywać miasteczkiem. Z biegiem czasu miasto wraz z przyległymi dobrami

otrzymała w sprawie wdowiej królowa Anna Jagiellonka, która je obdarzyła prawem magdeburskiem i nadała mu herb Sforzów (przedstawiający wijącego się węża z dzieckiem w paszczę); herb ten mimo wieków i zmian dotychczas pozostał. Za Stanisława Augusta ekonomia Prużańska składała się z 66 wsi i zarządzana była przez t. zw. gubernatora. W czasie powstania Kościuszkowskiego (1794 r.) utworzył się był z części powiatu prużańskiego powiat bereski, którego krótkotrwałym marszałkiem był ks. Franciszek Lubecki. Po rozbiórce Rzeczypospolitej Katarzyna II dobra te wraz z miastem nadała głośnemu Rumiancewowi, który je wkrótce rozprzedał: Trębickiemu, Bulharynowi, Włodkowi i Szwykowskiemu. Ten ostatni nabył na własność

rezydencję tuż przy mieście (tak zwaną „Gubernię”) wraz z położonymi w pobliżu folwarkami. W „pamiętnym roku wojny i urodzaju” stał tu generał francuski Reynier z 7-m korpusem piechoty. O parę wiorst, na terytorium fol. Semency, z podjazdem nieprzyjacielskim stoczona była potyczka. W miejscu tem przed 30 laty wznosiła się mogiła. Tu wreszcie, na rozległej równinie pod



miastem w pierwszej ćwierci ubiegłego wieku korpus litewski odbywał ćwiczenia, na które naczelny „dowódca wojsk polskich” W. ks. Konstanty przybył z Warszawy. Znałem jeszcze ex-pocztyliona księcia, 90-letniego Żuka z Dobuczyna; (był naówczas dziad ten olbrzymi cywunem u Szwykowskich); mawiał, że konie się spinały i ludzie głuchli, jak książę huknął przed szeregiem. „A pędzić lubiał—Boże! na złamanie karku”.

Gleba okoliczna po części czarnoziemna, w części zaś gliniasta. Proso zawsze, a pszenica pod rok plon dobry wydaje. Że ziemia żyzna, dowód, iż w puszczech litewskich nigdy nie widziałem tego, co zoczyłem przy wjeździe do podprużańskiej Jahołkowskich Semency. Oto rosły tam nie żadne krzewy, ale najistotniejsze drzewa jałowcowe, z których snadnie wyciosać można było krokiew do budynku! Jadąc ku niedalekiej puszczy Białowiejskiej, już w pobliżu Szereszewa zaczynają się grunty lekkie i piaszczyste. Wogóle kątek ten ma swoją własną fizyonomię. Powierzchnia płaska, zasiana kamieniami, liczne groble, błota i moczary (t u ż k i), na których pełno latem bekasów, czajek, batalionów. Tu i owdzie gaiki i kępy brzozy, olszowe, sosnowe, a wśród nich folwarki, dwory obsadzone topolą włoską i wioski o długich chatach, do niedawna k u r n y c h.

Lud okoliczny bierny, powolny, dorodny, fizycznie nieźle jest zbudowany; należy on do grupy etnicznej małoruskiej i mową od pińczuków niewiele się różni.

Ubiór włościanie szyją sobie z przygotowanych w domu samodziałów ¹⁾ Świty noszą sukienne barwy tabaczkowej, kożuchy o sporych kołnierzach, barwią na czerwono. Nogi m u ż y k obuwa w plecione, skórą niekiedy świńską podszyte p o s t o ł y a b a b y głowy swe okręcają w białe, płócienne t. z. n a m e t k i.

„Obywatele” miejscy na przedmieściu Ch w a t k a, a razem z nimi i chłopci w podmiejskich Plebańcach zajmują się garncarstwem i wyroby swe z czarnej dobrze wypalanej gliny rozwożą w dni targowe i jarmarczne po całym powiecie.

Ostatnim z wyborów marszałkiem powiatu prużańskiego (obranym w r. 1854), był Walenty herbu Ogończyk Szwykowski. Wysoko wykształcony i pe-

łen przymiotów towarzyskich pan marszałek był prawdziwym wykwittem kultury naszej i tradycje jej w sercu swem piastował. Słynna z gospodarności małżonka (z domu Przcziszewska) była harmonijnem jego dopełnieniem.

Pałac ich, wznoszący się tuż przy mieście samem, lekki, w stylu nowowłoskim, zbudował znany architekt Lanci. Gościnne podwoje jego były zawsze dla wszystkich otwarte. Z wiekowych pomarańcz, których las był istny, palm, mirtów i cytryn, na całą Litwę słynna była Szwykowskich oranżerya. Takiej podobno i Radziwiłłowie nie mieli. Rozległy ogród był rezydencji tej prawdziwą ozdobą; będąc bezdzielny, marszałek duszę w niego włożył.

Niestety, w kraju niebawem zerwała się straszna zawierucha, padły gromy, rok 63-ci wszystko zmiotł i wniwecz obrócił. Marszałka złośliwy los przerzucił na zachód, do Belgii, gdzie karmazyn dzięki wrodzonej uniwersalności polskiej mógł znośnie się jeszcze utrzymać w bluzie ogrodnika. Wspomniała oranżerya jego znalazła się w pobliższej Białowieży, a w murach pałacu dykasterye powiatowe rozsiały się na dobre.

Zdawało się, że wszystko już stracone, stał się atoli cud... Niczem nieznużone starania pozostałej w kraju marszałkowej odniosły bezprzykładowy skutek, po latach kilku rząd im zwrócił piękną Prużanę. I tak do tryumfów energii niewieściej fakt przybył nielada!

O kilka wiorst za miastem w stronie wschodnio-północnej leży owo Dołhe, w którym obaj Kraszewscy: Józef i Kajetan, bez troski i w spokoju młode lata spędzali. „Dołhe stokroć mi jest miłsze—pisał niegdyś Józef—niż księgi całego świata!”. W majątku tym przed laty 30, gdy cały miesiąc z małżonką jubilata u marszałkostwa gościł, mieszkał podówczas brat jego młodszy, sympatyczny p. Lucyan Kraszewski, wierny adept sztuki, rysownik zawołany, artysta całą duszą...

W pobliżu Dołhego i Prużany były liczne domy szlacheckie, nawet wielkopańskie, atmosfera wszędzie panowała swojska, zażyłość serdeczna. Czas jednak nieubłagany kres temu położył, sędziwy dziedzic Prużany oddał duszę Panu, ¹⁾ i nietylko, że dobra jego przeszły w ręce obce, ale i w niedalekiem sąsiedztwie wnet powstały szczyrby...

Obecnie brzozy tylko płaczące na mogiłach rosną, i smutne, żałosne bardzo a bardzo unoszą się nad nimi wspomnienia...

Tyle o tym tak mało znanym w kraju zakątku.

M. F.

¹⁾ Za moich czasów (r. 1877) oprócz soli, wódki, za którą przepada, garnka i żelaza, chłop nic więcej w mieście literalnie nie kupował; w zakątkach nieco dalszych wóz gospodarski bywał bez żelaza, (koła gięte, obody,) a garnek do noszenia w pole strawy płynnej zastępował t. zw. *sauluk*, czyli worek ze skóry całego cielaka, mający dno okrągłe, drewniane. Chłop, niby dudy, naszał go na plecach, a gdy w nim mleko, zwłaszcza zsiadłe, w upał fermentacji podległo, zaczynał się ów *sauluk* ruszać i pociesznie wydymać!

¹⁾ Ś. p. W. Szwykowski, znacznie przeżywszy żonę, w wieku lat 82 zmarł w 1902 r. w Warszawie.



II.

Według podania Prużana nazwę swą otrzymała z tego powodu. Królowa Bona, zatrzymawszy się tutaj, trzymać miała do chrztu dwoje bliźniąt płci męskiej i żeńskiej imieniem Prost i Anna. Na pamiątkę tego zdarzenia miasto przybrało nazwę Prosanna-Prużana. Według drugiej wersji, gdy królowa Bona przepływała łodzią przez rozlany strumyk Muchę, mała jej córeczka wypadła do wody i utonęła. Mucha pożarła tedy dziecko, a stąd nazwa: Pożarła-Prożora—Prużana. Faktem jest, że jeszcze przed paru dziesiątkami lat miasteczko położone w nizinie przedstawiało wiosną i jesienią jedno wielkie bagno, zwłaszcza w pośrodku, gdzie przepływa Mucha, rzeczka utworzona z dwóch strumyków: Kamionki i Pirogówki. Pod Kobryniem Mucha i Wic łączą się w Muchawiec—dopływ Bugu.

Niezwykle malowniczy jest strój tutejszych mieszczanek, które ze względu, iż go przejmują okoliczne wieśniaczki, z dniem każdym szybko zanika, „obywatelki” bowiem, aby się wyróżnić od „chłopianek” na gwałt się zaczynają ubierać podług ostatniej mody. Strój, o którym mowa, składa się z t. zw. andaraka spódnicy, gorsetu, bekiesza (kiecki wełnianej) i „szalówki” na głowę

czyli chustki różnokolorowej, zawiązanej u dziewczyny z przodu w bardzo misterny węzeł, spuszczonej zaś na plecy w jeden luźny koniec. Andarak drobno faldowany, szyty bywa z samodziału wełnianego, utkanego wzorzysto w kwiaty. Faldy jego utrwalają się w iście pierwotny sposób: są one przykładane zwykle wprost z pieca wyjętemi bochenkami chleba. Po manipulacji takiej zbyteczne całkiem jest prasowanie. Najbogatszą część ubrania stanowi bekiesza z granatowego, cienkiego sukna, szamerowana niebieskimi tasiemkami lub amarantową jedwabną pelerynką i podobną materyą obszytymi rękawami. Szerokie rękawy białej koszuli z falbanką—naramienniki, inaczej przyramki, tkane są z czernonego „goryniu” t.j. bawełny zwanej purpur. Stroju dopełnia długi, biały, marszczony fartuszek z koronką u dołu, na szyi mnóstwo paciorków oraz wstążek, okrywających całe plecy. Dziewczyny noszą warkocze związane kokardą.

Lucyan Kraszewski, brat Józefa, przed laty kilkunastu przesłał do Muzeum Narodowego, w Krakowie manekin wielkości naturalnej, ubrany w typowy strój mieszczanki prużańskiej.

U. R.

Wejście na Mont-Blanc (4810 m.) ²⁾



SZCZELINY NA „JONCTION“

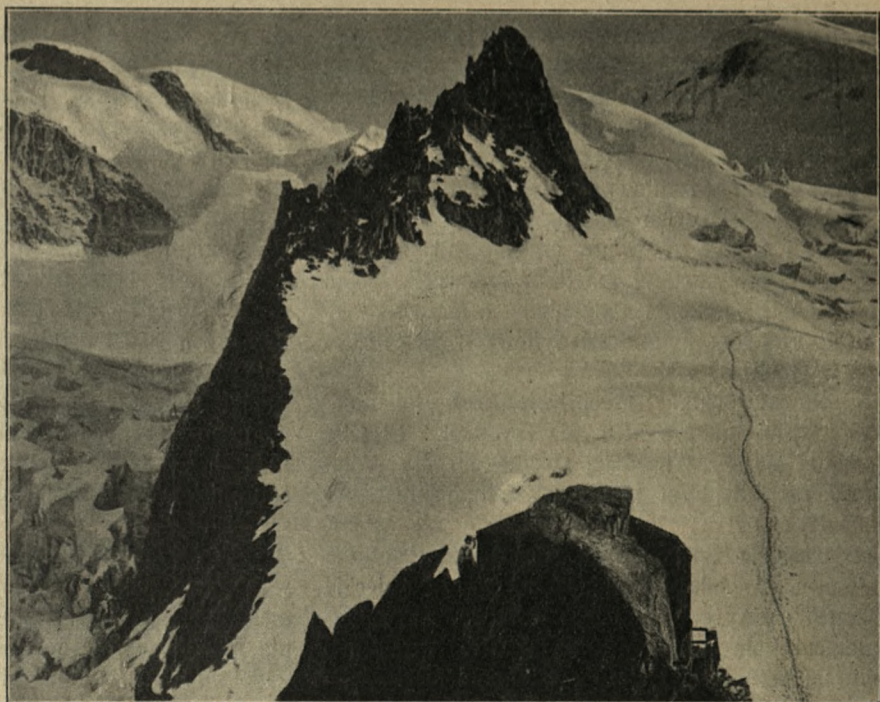
foto. J. Jaroszyński

Za pomocą lornetki widzimy dokładnie prawie do samego schroniska wydeptaną w śniegu ścieżkę, wijącą się pomiędzy szczelinami i wzgórkami lodowymi (séracs). Pewni już teraz jesteśmy, że błędzić na tej drodze nie będziemy.

Schodzimy na lodowiec około godziny 2-giej po południu i szybko posuwamy się po jego twardej i równej płaszczyźnie, mając po lewej stronie wyniosłe ściany „Aiguille du Midi”. Spotykamy po drodze wiele odłamów skalnych, leżących



na śniegu, i głębokie bruzdy przez nie wyorane. Są to pozostałości lawin z kamieni, spadających tu w pewnych godzinach, gdy słońce przygrzeje, ze zboczy „Aiguille du Midi”. Pośpiesznie przechodzimy to miejsce, obawiając się niespodziewanego zwału. Po godzinnym marszu zbliżamy się do „Junction”. W miejscu tem spotykają się a raczej tylko ocierają o siebie lodowce „des Bossons” i „de Taconnaz”. Pierwszy bierze początek u podnóża „Mon-Blanc du Tacul” (4249 m.) i „Mont Maudit” (4485 m.), drugi



fot. J. Jaroszyński

WIDOK Z „GRANDS MULETS” (3051 m.). W dole ścieżka na szczyt Mont-Blanc, widoczny na lewo w głębi; na prawo Dôme du Goûter (4303 m.); w środku Rocher Pitschner (3259 m.).

zaś splywa ze zboczy. Różna szybkość posuwania się lodowców powoduje silne napięcia w stykających się bokach i wypiętrzenie ich powierzchni, dochodzące do kilkunastometrowej wyso-

kości. Spiętrzenia te są poprzeryzane przez węższe lub szersze szczeliny o znacznej miejscami głębokości i szerokości. W czasie lata słońce i deszcze obnażają ze śniegu góry i stoki lodowe (sé-

racs), nadając im kształty wysmukłych, nieraz fantastycznych figur. Lawirowanie pomiędzy nimi bywa chwilami dość utrudnione, tembardziej, że mając uwagę skupioną na wyszukiwaniu mostków i grzbietów do przejść, można przy ciągłej zmianie kierunku drogi łatwo stracić orientację, dokąd iść należy. W końcu lata szczeliny bardziej się rozszerzają i pogłębiają, mostki naturalne giną, i wtedy przejście owego miejsca jest jeszcze więcej utrudnione—bez drabin i sztucznych mostów czasami całkiem



fot. J. Jaroszyński

WIDOK Z GRANDS MULETS



nie można przejść tamtędy; zwykle jednak bywają mostki zakładane przez dzierżawcę schroniska na „Grands Mulets” — nie należy się więc obawiać położenia bez przejścia. Dla nas „warunki śniegowe” i lodowe były wyjątkowo pomyślne. Obeszło się bez drabin i mostków, nie uważaliśmy nawet za potrzebne związywać się liną i nakładać „raki”. Śmiało i pewnie posuwamy się naprzód, próbując w pierw wytrzymałości mostków lodowych, stopni i „pólek”. Spokojnie spoglądamy w nieznane czeluście szczelin, pięknie seledynowe u góry i czarne w głębi.

Po całogodzinnej przeprawie przez „Jonction” wstępujemy na lodowiec „de Taconnaz”. Ścieżka podnosi się coraz bardziej stromo do góry w zakosy po pulchnym i rozmięczonym przez promienie słoneczne śniegu. Rozpadlin nie widać, gdziekolwiek tylko rysują się charakterystyczne nierówności śniegu świadczące, że zdradzieckie szczeliny ukryte są pod jego warstwą. Dla zabezpieczenia się przed nimi, jako też przed możliwym zesunięciem się po stromym śniegu, wiążemy się liną. Skąły ze schroniskiem widzimy tuż nad sobą, lecz znowu cała godzina upływa z nami, z trudnością wygrzebując się z głębokiego i spadzistego śniegu, dosiegamy płyt granitowych, rozkoszując się na nich pewnością naszych stąpnąć i chwytów.

Schronisko (3051 m.) robi wrażenie przyzwoitego do skały gniazda jaskółczego — szczególnie, gdy się na nie patrzy z sąsiedniego wierzchołka „Grands Mulets”. Nie należy ono do najwyższych w Alpach, stale w sezonie turystycznym zamieszkałych (Erzherzog - Johann - Hütte pod Gr. Glockneren 3465 metrów, cabane Theodore 3322 m., rifugio Torino pod col du Géant 3370 m.), cenami zato stanowczo wszystkie przewyższa: łóżko 8 fr., obiad bardzo skromny 6 fr., kawa ranna 4 fr., o ile zaś kto nie korzysta z prowiantów schroniska, to dopłata do ceny noclegu 5 fr.). Widok stąd jest niezwykle oryginalny i piękny. Czarne skały „Rocher Pitschner” stanowią silny kontrast z oślepiającym śniegiem „Petit Plateau”; Dôme du Goûter (4303 m.) przygniata widza swoim ogromem, Mont-Blanc zaś wciśnięty w poła śniegowe wydaje się tak blizki i mały, że wierzyć

się nie chce, że to jeszcze 1800 metrów do jego wierzchołka, a około 7 kilometrów w linii prostej. Najpiękniej jednak i najgroźniej przedstawiają się ostre szczyty „Aiguille du Midi” i „Aig. de Saussure” (3845 m.), z białych prostopadłych prawie ścian z których co chwila z głośnym grzmiotem obrywają się lawiny śnieżne i spadają do najeżonego złomami lodowymi i zięjącego szczelinami lodowca „des Bossons”. Po przeciwnej stronie — na zachodzie — widok zupełnie inny i niezwykły: przestrzeń przed nami otwarta bez końca; dolinę zalewa morze chmur; jak fale bijące o skaliste brzegi, podnoszą się z niego ku nam mgliste bałwany o dziwnych kształtach jakichś potworów morskich. Mrok zapada; schodzimy więc do schroniska, ażeby posilić się i wypocząć na jutrzejsze trudy.

W schronisku zastajemy dwa grona turystów, zamierzających iść tą samą co i my drogą. Wybierają się również bez przewodników, co napelnia nas otuchą, że oczekująca nas droga nie jest widocznie tak trudna. Pocięcha ta jednak jest do pewnego stopnia ofiarą moralną, spadamy bowiem we własnej opinii z piedestału poniekąd bohaterów dokonywujących rzeczy, na które mało kto się odważy.

Zanim noc zapada, około godziny 8-ej, zasypiamy, zamierzając wstać o 1-szej po północy, jak tego wejście na Mont-Blanc wymaga, ale już na pół godziny przedtem budzą nas hałaśliwe stąpania butów naszych sąsiadów, którzy też niebawem opuszczają schronisko. Wstajemy i my, pijemy kawę z mlekiem, obecności którego jednak trudno byłoby się domyślić, gdyby nie rachunek gospodarza, namaszczonego twarzą tłuszczem, przeciwdziałającym oparzeniom słonecznym, i opuszczamy kosztowne schronisko, kosztowne, gdyż za ten 6-godzinny pobyt i za skromne używanie prowiantów gospodarza zapłaciliśmy siedemdziesiąt kilka franków. Wychodzimy obładowani workami, co mocno dziwi naszego gospodarza, gdyż przypuszczał, że, pozostawiając w je schronisku, wrócimy po nie. Tłómaczymy mu, że wrócimy całym inną drogą.

Jan Jaroszyński.





Z podróży na Pomorze.

14)



PRZYŁĄDEK ARKOŃSKI

IX

Z Podgardu tylko ćwierć godziny drogi piechotą do Arkony. Prowadzą stąd do niej dwie drogi: jedna w kierunku północnym do starej bramy wału przy północnym jego krańcu, gdzie się znajduje źródło, druga zaś drożyna wiedzie wprost przez wał w miejscu, gdzie ząb czasu zrobił w nim największe szczyrby. Jest to właściwie ścieżka, krótsza nieco od pierwszej, która jest drogą kołową.

Dzisiejsza Arkona nie jest żadną osadą, tylko właściwie najpółnocniejszym przylądkiem półwyspu Witowa, względnie wyspy Rujny, przylądkiem z wysokimi a stromymi brzegami kredowymi, który małym kawałkiem ziemi wyskakuje w morze. Nad tem panuje imponująco potężna, czterdzieści kilka stóp wysoka ruina twierdzy ziemnej czyli wału grodowego, który w półkolu łukowem o długości 840 metrów, ciągnąc się od północnego brzegu do południowego, odgranicza ów w morze wystający przylądek od zacho-

du; ogółem powierzchnia przylądka wynosi 181,200 stóp kwadratowych. Bielejące skały nadbrzeżne przylądka widnieją na morzu zdaleka. Miejscowość wygląda jak potężna twierdza wysunięta w morze. Za obrębem wału wznosi się obecnie latarnia morska, której światło sięga na pięć mil daleko. Widok z niej zachwycający: w południowym kierunku przez Skamiję i zatokę Jasmodzka na miasto Górę, w południowo-zachodnim na wyspę Gutoszy, w północnym na kredowe brzegi duńskiej wyspy

Moen, na prawo zaś z przeciwnej strony widnieją nieco niżej zielone bory Jasmodu. Wschód słońca przedstawia w Arkonie czarujący i osobliwy obraz. Z bezgranicznego przeźroczą wód wstaje ono, mgłą lekko osłonięte, jako czerwona, żarząca się kula, oświecając najprzód purpurowo widnokrąg morski, podczas gdy ląd osłania jeszcze ciemność.



WYBRZEŻE RUJNY KOŁO GOŚNIC



ARKONA Z LATARNIĄ MORSKĄ

Budynek syreny morskiej z dwiema parowemi maszynami, sygnalizujący mgłę, stacya meteorologiczna i wcale porządna gospoda tworzą obok latarni morskiej jedyne zabudowania miejscowości. Z wału grodowego, który nie wszędzie przedstawia jednakową wysokość, pochłonęło burzliwe morze od północy spory kawałek ziemi, z czego wynika, że przestrzeń przylądka, opasana wałem, gdzie stał stary gród i świątynia, była za dawnych czasów znacznie większa. Silnie napierające na przylądek morze, urywając wciąż przez podmywanie brzegi kredowe, może pochłonąć całe kilkumorgowe uroczysko grodu z wałem, a wtedy stosować się będą do Arkony słowa: *nec locus, ubi Troja fuit*: zapadnie się ona jak pomorska podaniowa Wineta w morze. Lud okoliczny opowiada i tak, że stary potężny gród Arkony zapadł się w morze; i tylko w pewne pogodne dni ukazuje się w powietrzu jako znikomy obraz w całym swoim przepychu.

Nazwa miejscowa Arkony była rozmaicie pisana i tłumaczona jako też etymologicznie wywodzona. Saxo Grammaticus pisał: *Archon, Arcon, Helmold: Archona; Knytling-saga* zowie ją *Arkun*; *Beyersdorf* w „*Baltische Streifen*” nie umie tej nazwy wyprowadzić z słowiańskiego, przypuszcza zatem, że jest prawdopodobnie germańskiego pochodzenia, podczas gdy *Jacob* robi z *Ark-on = Jar(y) koń = Jarkoń*, co się dość dziwnie przedstawia. Najlepsze wydaje mi się objaśnienie *Papłońskiego*, podane w dopiskach do jego tłumaczenia *Helmolda Kroniki słowiańskiej*. Píše on: „Nazwę objaśnia samo znaczenie świątyni arkońskiej. Zbierały się około niej wszystkie ludy słowiańskie jako około wyroczni po odpo-

wiedzi boga, a *Saxo* szczegółowo opisuje, w jaki sposób przyszłość w niej badano i wyroki czyli przepowiednie ludowi ogłaszano. Arkona więc była główną wyrocznią, a pojęcie to w samej nazwie się zawiera. Rkę w języku starosłowiańskim znaczy: mówię, polskie: rzekę, rzekł, rzekać, rzkomo, rzekomo, z tego rok, wyrok, u-rok, pro-rok, rok-ować. Oczywiście *rkona* zawiera w sobie pojęcie mówienia i przepowiadania przyszłości. Powstała podobnie, jak łacińskie *oraculum* z *oro* — mówię. Zbieg spółgłoskowych dźwięków *rik* przykry jest dla ucha słowiańskiego, i dlatego mówiono dla

zmiękczenia wymawiania: albo je przegradzając dźwiękiem samogłoski (*rzekę, rzekomo*) lub też dodając ten dźwięk na początku; tak w pieśni o *Igorze* trzynastego wieku trzy razy powtórzono: *arkuczy* zamiast *rkuczy* (*rzekąc*). Tę formę widzimy w nazwie świątyni *Swantowita Arkony*. Dodać jeszcze trzeba, że przedmieście miasta *Zerbst*, zowiące się *Ankum*, wszędzie w starych dokumentach pisane jest *Arkun*.”

Stara Arkona była grodem, który stał wysoko na przylądku. Była od wschodu, południa i północy nie sztucznymi lecz przyrodzonymi twierdzami broniona. Strome zbocza przylądka wyglądają jak mury, których szczytu żadna ciśnieńta strzała dosięgnąć nie może. Z tych stron bronilo także i morze, dotykające ich stóp, podczas gdy od zachodu otaczał je wał pięćdziesiąt łokci wysoki, a więc znacznie wyższy, aniżeli dzisiejsza jego ruina. Spodnia część wału była nasypem ziemi, wierzchnia składała się z ziemi i drzewa (plot palisadowy i las na grzbiecie wału). Na północnym jego krańcu wytryskiwało obfite źródło, do którego mieszkańcy mieli przystęp krytą drogą. Środek grodu tworzył wolny płac. Tu wznosiła się świątynia.

Stałem w gospodzie arkońskiej, gdzie za bardzo mierną cenę znalazłem dobry nocleg i niezłe jedzenie. Gości zastałem tu niewiele, gdyż rój podróżników i letników omija Arkonę. Było właściwie tylko kilka osób; jakiś profesor z Kopenhagi z żoną i córką, kilku studentów, druga jakaś rodzina i pewien starszy jegomość z Meklenburga, osobliwy typ. Kim był, nie wiem, z rozmowy z nim widać jednak było, iż był człowiekiem wykształconym, bardzo czytany i myślącym. Osobliwa rzecz: człowiek ten, lubo urodzony Niemiec i nie-



władający żadnym innym językiem tylko niemieckim, czuł przecież w sobie — krew wendyjską. Zwał się Gramke. Gdy się z nim zapoznał i zapuścił w rozmowę, siedząc na werandzie gospody, doznałem ogromnej niespodzianki.

— Proszę pana — mówił, rozgadawszy się — w żyłach moich płynie krew wendyjska, kołębka Gramków z pewnością nie znajdowała się w Teutoburskim lesie. Uważałbym siebie za ostatniego nikczemnika, gdybym się zapierał pochodzenia swych ojców i praojców. My, meklenburczycy, jesteśmy w części obotryci, w części lutyicy. Nasz książę pochodzi przecież

w prostej linii od wielkiego Niktota z czystosłowiańskich książąt. Gdybym ja nim był, pokazałbym światu rzadkie widowisko, jak się wskrzesza duchy z grobów.

Znał dobrze dzieje słowiańszczyzny zachodnio-północnej.

— Jestem lutykiem albo weletabą — mówił dalej — bo Pomorze z wyspami, marchia ukerska, część Meklenburgii, Brandenburgia ze stolicą państwa niemieckiego — wszystko to ziemie mych praojców lutyckich.

Potem dodał:

— Jak inni biją pokłony Wotanowi, tak ja przybyłem do Arkony uderzyć czołem przed gruzami Swantowita. Czy zwiedził pan już plac za wałem, gdzie stała świątynia?

Powstałiśmy i wyszliśmy na plac. Tu z wszelką drobiazgowością pokazywał mi miejsca, gdzie co stało, gdzie wznosiła się świątynia a w niej gdzie stał posąg, gdzie znajdowało się mieszkanie arcykapłana, gdzie była stajnia białego rumaka a gdzie koszary przybocznej straży Swantowita, gdzie się odbywała wyrocznia i t. d. i t. d.

— Nie mamy wcale powodu — powiedział — wstydzić się pogańskich rujnian. Sławni byli oni z waleczności, bogobojności i karności. Pod tym względem przewyższali każdy inny naród. Trzeba mieć na uwadze, że to była tylko garstka ludzi, a jakich czynów ona dokonywała! Podbiła Danię, ziemie szwedzkie i norweskie, jako też wyspy skandynawskie, a tak była wslawiona bohaterstwem wojennym, iż wszelkie armie pierzchały na jej widok. Wobec Swantowita wygląda Wotan na karła. I ja miałbym się wstydzić swego wendyjskiego pochodzenia?!



LOMNA (OHME) NA RUJNIE

Perorował na ten temat jeszcze sporą chwilę, poczem pożegnałem go, udając się na spoczynek. Nazajutrz spotkaliśmy się o świcie na latarni morskiej, by oglądać wspaniałą wschód słońca z przyłodka arkońskiego. I teraz prawil wciąż o wendach i wielkiej ich przeszłości.

— Nie mogę pojąć tego — mówił — dlaczego wendowie mieli wysuwać kult swego największego boga na ostatnią północną kończynę swej ziemi. Wnioskuje więc, że ich władztwo i osiedlenie na północy nie mogły się tu kończyć, lecz musiały wprawku obejmować dzisiejsze wyspy duńskie i Jutlandyę. Sama jej nazwa Danemark wskazuje dowodnie na to, że dzisiejsza Dania była marchią czyli granicznym posterunkiem normanów na ziemi pierwotnie wendyjskiej, tak jak wszystkie inne marchie niemieckie: Altmark, Neumark, Mittelmark, Ukermark, Ostmark i t. d.

Nie mogłem tej argumentacji nie przyznać pewnej słuszności. Wszak na półwyspie Jutlandzkim istnieje Lützenborg, a na wybrzeżu zatoki Skager Rak, na północno-zachodnich jej kończynach, istnieje ziemia nosząca dziś jeszcze nazwę Wendsysel (dawniej Wendlesysach), znacząca dosłownie: osiedlenie wendów czyli słowian. Na tej ziemi znajdują się wsie zowiące się Wendefolkhaeret i Winabivergheret, a mieszkańcy tej ziemi nazywali się Wendelboer, po łacinie Vandali. Istnieją tam też miasta: WesterWandel, OsterWandel i Winabiörg (gród wendów). Ziemia wagrow słowiańskich leżała także częścią już na Jutlandyi, a w Holsztynie i Szlezwicku pełno nazw miejscowych, wskazujących na pierwotne słowiańskie zaludnienie



tych ziem. Wyspa Wemera należała w dziejowych jeszcze czasach do wagrów i była słowiańska.

Z upadkiem Swantowita w Arkonie padła też ostatnia silna twierdza pierwotności słowiańskiej na Rujnie. I stał się prawie cud! Ten sam Jaromir, brat ostatniego niepodległego króla rujniańskiego i jego współrządca, który własnymi oczyma patrzył, jak wolnemu ludowi wzięto nie-

podległość, jak niszczone i rabowano jego grody, jak z największym szyderstwem deptano nogami jego wiarę i uczucia wewnętrzne, — ten sam Jaromir, przyjąwszy chrześcijaństwo, jako duński wasal, stał się od razu najgorliwszym germanizatorem swej ziemi. W dziesięć lat później była słowiańska „Święta wyspa” doszczętnie zniemczona — stając się dziedziną Herty.

G. Smólski.



Listy do Redakcyi.

Szanowny Redaktorze!

W imię dobra nauki pragnę podkreślić wybitne znaczenie dla archeologii przedhistorycznej ziem naszych zapisków tego rodzaju jak zamieszczony w № 45 „Ziemi” r. b. przez p. Adama Chętnika pod tytułem „Żale”.

Z notatki tej specjalista dowie się, że:

1) we wsi Mątewicy w pow. łomżyńskim jest wyniesione miejsce ze starodawną nazwą „żale”. Że w miejscu tem były kręgi wielkich kamieni.

2) Pod kamieniami znajdowano żelazto i naczynia z popiołem obłożone kamieniami („piwniczki”, str. 743).

Na tych danych specjalista może przypuszczać śmiało :

1) że we wsi Mątewicy na polu „żale” jest cmentarzysko ciałopalne przedhistoryczne, wyposażone w żelazny oręż i urny gliniane.

2) Zestawiwszy rysunek podany przez pana Chętnika (str. 743) z wizerunkami podanymi w dziele O s k a r a M o n t e l i u s a *Kulturgeschichte Schwedens*, str. 327, 329, 330, wizerunki: 527, 529, 531, cmentarzysko we wsi Mątewicy odnieść można do epoki „wikingów” t. j. przypuszczać, iż w pewnym okresie prahistorii ziem łomżyńskich istniał tam rytuał pogrzebowy, identyczny z rytuałem panującym w Szwecyi w okresie „wikingów” (Wiekingerzeit).

Wniosek taki rzuca jasne światło na osadnictwo i losy ziem dzisiejszego pow. łomżyńskiego, że zaś w innych okolicach kraju np. w Rawskim i przy ujściu rzeki Rawki do Bzury i d e n t y c z n y rytuał pogrzebowy został wykryty (plany grobów zdjęte przez ś. p. Konstantego Wojciechowskiego architekta), przeto mamy już ujawniony spory krąg pa-

nowania owego rytuału. Są to dla nauki dane pierwszorzędne.

Proszę przyjąć i t. d.

Maryan Wawrzeniecki.

członek Komisji Antropologicznej.

P. S. Jakimże nieocenionym materiałem naukowym byłyby owe „żelaza” i „garnki” (urny), gdyby je można oglądać choć w dobrych fotografiach, cóż dopiero, gdyby w naturze.

□□□□□□□□

Z Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego.



W. d. 15 października rozstrzygnięty został konkurs na zbiory przyrodnicze, ogłoszony przez sekcję przyrodniczą Oddziału w Zagłębiu P. T. Kraj. Jury stanowili pp. A. Sujkowski

J. Isaak, St. Szarraj i E. Warchol.

Prac przedstawiono niewiele: 7 zielników i 7 kolekcji owadów.

Kto zna ubóstwo flory i fauny Zagłębia, jego niegościny krajobraz, raczej odpychający od natury, niż pociągający do niej, kto zna przyziemność ideałów przeciętnego ogółu Zagłębia, ten ubóstwu „eksponatów” dziwić się nie będzie, raczej dziwić się będzie, że zebrało się ich tyle. Doskonale zdawała sobie z tego sprawę sekcja, kiedy ogłosiła konkurs, i co do jego wyników wcale się nie ludziła; organizowała go jednak, chcąc skierować na właściwą drogę tak powszechne u młodziży, a lokalnymi warunkami spaczony u młodziży w Zagłębiu zamiłowanie do kolekcjonowania, nie pozwolić zgasnąć tym tlejącym tu i owdzie isierkom umiłowania twórców natury, a może i nowe isierki rozniecić. Jakoż udało się sekcji wyłonić z tego konkursu prawdziwą perełkę kolekcjonistyczną. Na miano to najzupełniej zasługuje zielnik



ucznia III klasy Będzińskiej szkoły handlowej, St. Zembala. Praca ta, obejmująca przeszło 300 gatunków roślin, wykonana została z taką starannością, precyzją, a przy tem i z takim zrozumieniem idei kolekcjonowania, z takim pietyzmem dla niemych, ogółowi nie mówiących roślinek, że zaimponowała samemu mistrzowi kolekcjonowania, p. Isaakowi. Dodać należy, że St. Zembal bez jakiegokolwiek presyi z zewnątrz, idąc jedynie za budzącym się u młodego kolekcjonisty głosem poczucia obywatelskiego, ofiarował swoją pracę Oddziałowi P. T. Kraj. w Zagłębiu, obiecując nadać ją kompletować.

W dowód uznania za trudy, bez kwestyi małego współmiercy z wysiłkiem i wartością pracy, otrzymał I nagrodę — Atlas państwa roślinnego Wilkomma. Druga nagroda — praska drucziana do suszenia roślin, dostała się uczniowi kl. IV Będzińskiej szkoły handlowej J. Nowakowi; przedstawił on zielnik skromniejszy, z mniejszą precyzją zestawiony, wykazujący jednak planowanie pracy i wyraźne zamiłowanie do kolekcjonowania.

Mniej fortunne okazały się zbiory entomologiczne, przy pewnej jednak wyrozumiałości i chęci podtrzymania zamiłowania do kolekcjonowania sądził przyznać I nagrodę (przybory do kolekcjonowania owadów) p. Miedziejewskiemu, uczniowi szkoły handlowej w Sosnowcu. Drugą nagrodę — Atlas motyli krajowych Dyakowskiego — uczniowi II klasy tejże szkoły T. Ziemińskiemu. Aby wynagrodzić trudy innych kolekcjonistów (w tej liczbie trzy siostry Gazyńskie z Warszawy: Stefcia 7¼ lat, Wandzia 9 lat i Hala 10¼) zawsze ofiarny p. Isaak od siebie wyznaczył nagrody — po kilkanaście rzadszych okazów ze swego bogatego zbioru.

Dnia 21 października rozstrzygnięty został konkurs fotograficzny ogłoszony przez sekcję fotograficzną Oddziału w Zagłębiu P. T. Kraj. w celu rozbudzenia zamiłowania do sztuki fotograficznej i kolekcjonowania krajobrazów, zabytków i typów.

Ogółem stanęło do konkursu 11 ubiegających się, przedstawiając razem 148 zdjęć. Jury stanowili: rzeczoznawca p. Altman, artysta malarz p. M. Kępiński, 2 amatorów pp. T. Krzyżanowski i A. Ujazdowski, oraz członek Zarządu p. J. Drzewiecki. Ze względów formalnych wskutek braku 3 zdjęć starych zabytków, wymaganych przez warunki, wyłączono z konkursu 3 prace. Z pozostałych I nagrodę, żeton złoty, przynano za pracę opatrzoną godłem „Sas”, p. Romanowi Kulczyckiemu, wyróżniającą się tak pod względem artystycznym jak i technicznym.

Dwie drugie nagrody przynano za prace opatrzone godłem „Zet”, p. Zygmunutowi Rychterowi, i p. Stanisławowi Musiałowi za prace opatrzone godłem „Erna”.

Dwie trzecie nagrody, listy pochwalne, przynano p. Józefowi Pietraszewskiemu za prace opatrzone godłem „Sięma” i p. Henrykowi Węgierskiemu za prace opatrzone godłem „Świerś”.

Zaszczytną wzmiankę otrzymał p. Stefan Mika za prace opatrzone godłem „Samouk”.

Z prac, nieodpowiadających warunkom konkursowym, wyróżniono pracę p. Józefa Droueta za zdjęcia opatrzone godłem „Per aspera ad astra”, tak za doskonale wykonanie techniczne jak i za niepowszedni artystyczny, oraz p. Romana Ochockiego za zdjęcia, opatrzone godłem „Fokus” dla tychże powodów.

Wszystkie te zdjęcia, stanowiące cenny zbiór artystycznie wykonanych krajobrazów, obrazków rodzajowych, typów i zabytków przechodzą na własność Towarzystwa i będą wywieszane w lokalu, przy ul. Głównej Nr. 14 w Sosnowcu.

Opracowany został i zatwierdzony przez Zarząd Główny następujący regulamin utworzonej w ubiegłym miesiącu naukowej Komisji Fizyograficznej przy P. T. Krajoznawczem.

§ 1. Komisya Fizyograficzna powstaje przy Tow. Kraj. na zasadzie § 1 p. 2 ustawy tegoż Towarzystwa.

§ 2. Komisya ma na celu:

a) Gromadzenie i opracowywanie materiałów naukowych z zakresu fizyografii krajowej, a mianowicie: z florystyki, faunistyki, geologii, antropologii, etnografii, archeologii, meteorologii i nauk pokrewnych.

b) Podejmowanie wydawnictw naukowych z zakresu fizyografii.

§ 3. Dla osiągnięcia tych zadań Komisya:

a) opracowuje plany i programy badań fizyograficznych;

b) Deleguje specjalistów na studia naukowe do oznaczonych przez nią miejscowości.

c) Udziela rad i wskazówek osobom prowadzącym badania fizyograficzne.

d) Udziela zapomóg i subsydyów na podjęte lub prowadzone studia.

e) Urządza posiedzenia, poświęcone rozważaniu spraw naukowych z fizyografią związanych.

§ 4. Stosunek Komisji do Zarządu Głównego Towarzystwa normują następujące przepisy:

a) Komisya rozważa sprawy przekazane jej przez Zarząd główny i udziela mu swych opinii i wskazań.

b) Komisya przedstawia do aprobaty Zarządu kosztorysy wydawnictw naukowych, przeznaczonych do wydania z ogólnych środków Towarzystwa.

c) Wystąpienia Komisji na zewnątrz (udział w zjazdach, delegacjach, wystawach i t. p.), odbywają się za aprobatą Zarządu.

d) Środkami, przeznaczanymi corocznie w budżecie P. T. Kr. na cele fizyograficzne, rozporządza Komisya F. i komunikuje kosztorysy swoje Zarządowi P. T. K.

e) Zarząd Główny otwiera w swych księgach specjalny rachunek K. F., na który wnoszone będą wszelkie dochody i wydatki tejże.

§ 5. Stosunek do innych Komisji Towarzystwa:

a) Komisya Fizyograficzna korzystać może z wszelkich zbiorów, pod zarządem lub dozorem innych komisji pozostających (muzealna, fotograficzna, wydawnicza, biblioteka) w porozumieniu z przewodniczącymi tych wydziałów.



b) Wszelkie zbiory swoje, mające wartość muzealną lub archiwalną, Komisya przekazuje odpowiednim wydziałom Towarzystwa.

U w a g a. Na oddanie zbiorów swych innej instytucji, poza Tow. Krajoznawczem stojącej, Komisya Fiz. uzyskać winna aprobatę Zarządu Głównego.

c) Strona handlowa wydawnictw Komisji należy do administracji wydawnictw Towarzystwa.

§ 6. W stosunku do Oddziałów prowincjonalnych:

a) Komisya korzysta ze zbiorów naukowych Oddziałów w porozumieniu z Zarządem danego Oddziału.

b) Komisya Fizyogr. ma prawo i obowiązek udzielać kierownikom zbiorów prowincjonalnych odpowiednich wskazówek w sprawach gromadzenia, przechowywania i opracowywania naukowego zbiorów.

c) Zarząd Główny wyjednywa ze strony oddziałów prowincjonalnych i członków korespondentów wszelką niezbędną pomoc i współdziałanie w podejmowanych przez K. Fiz. pracach.

§ 7. Corocznie przed upływem 15 stycznia Komisya składa Zarządowi wyczerpujące sprawozdanie ze swej czynności, sporządzając wykaz rozważonych spraw, podjętych i opracowanych tematów naukowych oraz zgromadzonych zbiorów, nabytych narzędzi i przyrządów i t. p.

§ 8. Komisya rozporządza następującymi środkami:

a) Sumą, przeznaczaną corocznie na badania fizyograficzne przez Zebranie ogólne Towarzystwa.

b) Wpływami nadzwyczajnymi staraniem własnym K. F. pozyskanymi.

c) wszelkimi ofiarami i subsydjami specjalnie na rzecz Komisji przelanymi.

d) wpływami za wydawnictwa K. F.

§ 9. Członkami K. F. są osoby pierwotnie uproszone przez Zarząd zarówno jak i kooptowane przez Komisję na propozycję prezydium tejże.

U w a g a. Osoby, nie będące członkami T-wa mogą być powoływane czasowo przez K. F. jako rzeczoznawcy.

§ 10. Posiedzenia Komisji bywają administracyjne i naukowe.

a) Posiedzenia administracyjne odbywają się obowiązkowo w kwietniu i grudniu, a mogą być zwoływane i częściej w miarę potrzeby.

b) Posiedzenia naukowe zwołuje Prezydium Komisji przynajmniej 4 razy do roku.

§ 11. Na posiedzeniach administracyjnych Prezydium Komisji: a) zdaje sprawę ze swej działalności, b) przedstawia do zatwierdzenia K. F. plany i kosztorysy badań i wydawnictw, i c) przedstawia do zatwierdzenia K. F. listę nowych członków.

§ 12. Decyzje Zebrań K. F. zapadają prostą większością głosów członków obecnych na posiedzeniu.

§ 13. Na posiedzeniach naukowych są rozpatrywane referaty z badań fizyograficznych i dyskutowane programy badań zamierzonych.

§ 14. Na posiedzeniu grudniowym K. F. wybiera z pośród swoich członków na rok przewodniczącego, zastępcę przew. i 3 członków Zarządu.

§ 15. Prezydium K. F. wybiera ze swego łona skarbnika i sekretarza.

§ 16. Prezydium K. F. ma następujące obowiązki.

a) rozsyłanie w porozumieniu z kancelaryą P. T. Kr. zaproszeń na posiedzenia

b) przygotowywanie materiałów i porządku dziennego na posiedzenia K. F.

c) wykonywanie uchwał i zleceń K. F.

d) reprezentowanie K. F. przed władzami głównymi Towarzystwa.

§ 17. Posiedzenia Prezydium K. F. odbywają się winny przynajmniej raz na miesiąc za wyłączeniem miesięcy wakacyjnych.

§ 18. Kom. Fizyogr. może być rozwiązana przez Zarz. P. T. K. lub z mocy uchwały powziętej większością $\frac{2}{3}$ głosów przy obecności co najmniej połowy członków Komisji w pierwszym terminie i bezwzględnie większością obecnych w drugim.

Do prezydium wybrani zostali:

L. Krzywicki

K. Kulwieć (skarbnik)

St. Lenciewicz (sekretarz)

J. Lewiński (przewodniczący)

K. Stołyhwo (zastępca przewodniczącego).

□□□□□□□□□□

Kronika krajoznawcza.

+ Prace około umontowania pomnika Tadeusza Kościuszki w Krakowie są już ukończone. Pomnik robi wrażenie imponujące. Artysta uchwycił ten moment, gdy Kościuszko wjeżdża pod Raclawicami w środek oddziałów kosynierskich, a witany okrzykami zdejmując czapkę i dziękując kosynierom.

TREŚĆ: M. Federowski—Zygmunt Gloger (z 1 ilustr.). K. Ruski — Puszcza Myszyniecka (z 3 ryc). F. M. i U. R. Prużana i jej okolice (z 1 ryc.). Jan Jaroszyński — Wejście na Mont-Blanc (z 3 ryc.). G. Smólski—Z podróży na Pomorze. (z 4 ryc.). List do Redakcji. Z Polskiego Tow. Kraj. Kronika krajoznawcza. Poza tekstem: Z naszych krajobrazów: 39, Z pow. zwiahelskiego.

Winiętę tytułową i ozdoby w tekście (motywy kujawskie) rysował Mikołaj Wisznicki.—Odbito w tłoczni Piotra Laskauera.—Skladał i tamal Ignacy Miazga.—Odbijał na maszynie Al. Grzegołowiski.—Kłiszę wykonano w zakładzie B. Wierzbickiego i S-ki.—Papier krajowy z fabryki A. Moesa w Pilicy.
